Dzień przed Gwiazdką

Monika Hołyk-Arora

Monika Hołyk-Arora

Dzień przed *Gwiazdką*

© Copyright by Monika Hołyk-Arora & e-bookowo
Zdjęcie: Afisher/Pixabay
Okładka: Monika Hołyk-Arora

ISBN: 978-83-8166-174-4

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Patronat medialny:

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2020

Rozdział I

Od razu go zauważyła. Piękny i przesadnie zdobiony wieniec świąteczny pysznił się na drzwiach sąsiedniego apartamentu. Wczoraj jeszcze go tam nie było! Teraz jednak pojawił się niespodziewanie, będąc pierwszą rzeczą, jaką zobaczyła, wychodząc z mieszkania. Maria Dąbrowska zamrugała nerwowo, mając nadzieję, że to tylko jakieś przewidzenie, albo resztki snu, który nie zdążył przeminąć. W końcu nie piła jeszcze swojej porannej kawy. Ponownie szybko zamknęła i otworzyła powieki. Niestety, wieniec nadal tam był. Pysznił się swoją kolekcją maleńkich bombek, dzwoneczków oraz kokardek. Zdawał się krzyczeć „Wesołych Świąt", chociaż kalendarz wskazywał dopiero pierwszy grudnia.

– Nowakowie znowu wynajęli komuś swoje mieszkanie – powiedziała cicho do siebie, jednocześnie walcząc z niewielką walizką, która w jej odczuciu zdawała się ważyć tonę. – Znając ich szczęście do dziwaków, pewnie przed końcem roku zawita tu Policja, Straż Pożarna bądź Egzorcysta.

Szukając w kieszeni płaszcza kluczy, usłyszała kroki. Pewnie ktoś z drugiej części piętra przemykał do pracy, próbując zachować ciszę nocną. Pora faktycznie była skandaliczna i z pewnością nie można jej było nazwa mianem poranka. Przecież dopiero za kwadrans zegarki miały wskazać piątą rano.

– Po co mi to było? – szepnęła, znowu sama do siebie, nie widząc w tym nawyku nic dziwnego. – Przecież mogłam jakoś wymigać się od uczestnictwa w tej konferencji, a przynajmniej polecieć tam samolotem. Ale nie, dałam się namówić Zośce na przygodę!

Mrucząc pod nosem nie do końca cenzuralne słowa, zamknęła wszystkie zamki, poprawiła ciepły szalik, który niespodziewanie zsunął się z jej szyi i ruszyła przed siebie. Ziewnęła przy tym, nieprzyzwyczajona do tak wczesnego wstawania, marząc jednocześnie o ciepłym łóżku.

– Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje droga sąsiadko – usłyszała na powitanie stare przysłowie, w którego słuszność nigdy nie potrafiła uwierzyć.

Mężczyzna wypowiadający te słowa stał w drzwiach windy, ewidentnie czekając, aż do niego dołączy. Maria widziała go już raz czy dwa, zarówno tu na piętrze, jak i przy skrzynkach na listy, ale nigdy nie miała okazji bliżej mu się przyjrzeć. Tym razem również jej się nie poszczęściło. Na jego głowie tkwiła czapka, a szalik, którym się owinął,

przysłaniał dosłownie połowę jego twarzy. Widziała tylko jego oczy – piękne, niebieskie tęczówki, które spoglądały na nią z nieskrywaną ciekawością.

– Dzień dobry panu i dziękuję, że pan poczekał. To bardzo miłe… – szepnęła, przechodząc między nim a framugą dźwigu, który już za moment miał zwieść ich oboje na sam parter. Poprawiła przy tym torbę z laptopem, zwisającą na pasku z jej ramieniu.

– Bo ja z reguły podobno jestem całkiem miłym facetem – zażartował, puszczając do niej oko.

Nie przywykła do tak jawnego flirtu, zresztą nie była nim zainteresowana, dlatego przemilczała tę uwagę, wbijając wzrok w jedną ze ścian ciasnego pomieszczenia. Sąsiad chyba zrozumiał, że kobieta nie ma ochoty na pogawędki tego typu, ani jakiegokolwiek innego, jeśli chodzi o ścisłość, dlatego również zamilkł, spoglądając nerwowo na wyświetlacz trzymanego w dłoni smartfona.

Winda zatrzymała się, co chyba oboje przyjęli z niejaką ulgą. Cisza panująca między nimi zdawała się krępująca. Bez zbędnego słowa szarmancko przepuścił ją w drzwiach, aby mogła wyjść ze swoją walizką, gdy nagle ciszę eleganckiego holu zakłóciły dwa pośpiesznie wypowiedziane słowa.

– Dziękuję bardzo.

Sama była zdziwiona, że je powiedziała. Chyba zasady

dobrego wychowania, jakie przez lata wpajała jej świętej pamięci mama, wzięły górę nad nieśmiałością, zmęczeniem oraz nie do końca zrozumiałym dla niej poirytowaniem. Ruszyła przed siebie, chcąc jak najszybciej poczuć na twarzy chłodne powietrze. Chwytała już klamkę wielkich przeszklonych drzwi, gdy nagle do jej uszu dobiegła niespodziewana odpowiedź.

– Nie ma za co. Gdyby potrzebowała pani jakiejś pomocy to mieszkam pod…

Nie dosłyszała numeru. Wiatr szalejący na zewnątrz, skutecznie zagłuszył jego ostatnie słowa. Zresztą nie sądziła, by miała okazję kiedykolwiek prosić go o cokolwiek. Przecież nawet się nie znali.

Odruchowo chwyciła za szalik, w drugiej dłoni trzymając rączkę walizki. Torba z komputerem nagle zaczęła jej ciążyć, zaś ona sama próbowała dostrzec swój samochód, który zaparkowała wczoraj nieopodal. Jej ukochane białe BMWx4 wyróżniało się wśród innych aut ustawionych szeregiem wzdłuż sąsiedniego bloku, pamiętającego zapewne późne lata władzy Gierka. Przebiegła małą osiedlową uliczkę, po czym niemal zderzyła się z kobietą idącą jej na spotkanie.

– Już myślałam, że mnie tu wywieje, zanim się pojawisz – rzekła, udając oburzenie, ale w jej głosie na próżno było szukać wyrzutu. – Pomyśleć, że taki ładny apartamento-

wiec nie ma cywilizowanego wejścia na parking z zewnątrz.

– Oj Zośka, Zośka, a po co z zewnątrz? Przecież parkujemy i idziemy do domów. Proponowałam ci, byś przenocowała u mnie. Mogłyśmy sobie oszczędzić tego porannego przewiania – mówiła z przejęciem, otwierając przepastny bagażnik auta.

– Też coś – oburzyła się nieco. – Przecież mieszkam sto metrów stąd! Korona mi z głowy nie spadła, że przeszłam się mały kawałek. Teraz przestań narzekać i powiedz mi, cieszysz się na nasz wyjazd? Bo ja bardzo.

Maria westchnęła lekko, idąc w kierunku drzwi kierowcy, po czym szybko zajęła swoje miejsce. Nie chciała studzić entuzjazmu przyjaciółki, ale trudno jej było wykrzesać z siebie, chociażby odrobinę szczerego entuzjazmu. Wiedeń, Paryż czy Londyn – było jej wszystko jedno. Jechała tam niejako w interesach i nie miała ochoty na zwiedzanie. Wizyta na jarmarku świątecznym, znajdowała się na samym szarym końcu jej listy przyjemności.

Zosia Bodziecka w tym czasie zajęła miejsce pasażera, zatrzaskując za sobą drzwi, po czym spojrzała na nią z wyczekiwaniem.

– Wiesz, będę zajęta konferencją, pewnie jakimiś kolacjami służbowymi… Niestety, sama jestem sobie okrętem, sterem i żaglem, dlatego muszę udzielać się w środowisku, aby zapewniać sobie nowe zlecenia – spróbowała łagodnie,

po raz kolejny zresztą, dać jej do zrozumienia, że nie będę miała dla niej zbyt dużo wolnego czasu.

– Pracoholiczka! – padło w odpowiedzi. – Jedziemy do Wiednia! Miasta, które słynie z licznych świątecznych jarmarków! Wyobraź sobie wszystkie te ozdoby, światełka, stragany z tradycyjnymi przysmakami i grzanym winem – rozmarzyła się, roztaczając wizję przypominającą jeden z tych świątecznych, mocno przesłodzonych filmów na Hallmarku.

– Jej – wykrzyknęła z udawanym entuzjazem Maria. – Wprost nie mogę się doczekać!

– Panna Grinch!

To oskarżenie nagle zawisło w przestrzeni auta, które zdążyło już zrobić się ciepłe. Jechały właśnie przestronną ulicą Zana, która wiodła je na obrzeża Lublina. Czekała je długa jazda, która miała zakończyć się dopiero za jakieś dziewięć do dziesięciu godzin.

– Maria Dąbrowska – odpowiedziała kierująca autem kobieta, nic sobie z tej obelgi nie robiąc – Nie wiedziałam, że ostatnio zmieniłaś nazwisko.

Drobna blondynka, zwinięta w jakąś dziwną pozycję, zapewne zaczerpniętą z jogi, prychnęła oburzona, moszcząc się przy tym w fotelu.

– Mówiłam o tobie! Ja kocham święta! – zadeklarowała zdecydowanym tonem.